

Byliśmy czarnymi diabłami

Z ppor. Piotrem Juralewiczem, uczestnikiem walk pod Falaise, rozmawiają Maciej Foks i Tomasz Sudol

Lądowanie aliantów w Normandii to jeden z przełomowych momentów w II wojnie światowej. Pana droga do Normandii rozpoczęła się w Kazachstanie. Kiedy został Pan wywieziony na Wschód?

W 1939 roku zostałem zmobilizowany do ochrony linii kolejowej z Warszawy do Wilna. W pierwszym dniu wojny spadły trzy bomby na tory kolejowe, 60 m od miejsca, w którym stał mój brat. Niemcy nie doszli do Marcinkańc, naszej rodzinnej miejscowości. Przyszli tam bolszewicy. Brudni, z karabinami na sznurkach, spluwaczki z hoteli pobrali. Kiedy brat wrócił z frontu, przenocował tylko jedną noc. Zabrało go NKWD pod zarzutem nielegalnego przekroczenia granicy sowiecko-niemieckiej. Dostał 8 lat gułagu. NKWD trafiło również do naszego mieszkania. Zastali mnie z matką i ojcem. Siostra wyjechała pod Kraków z żołnierzem służącym w Korpusie Ochrony Pogranicza. Wywieziono nas do północnego Kazachstanu (z listu dowiedzieliśmy się, że brat jest na dalekiej północy). Zawieźli nas na step i powiedzieli: tu będziecie żyć i tu będziecie umierać. Budowaliśmy szalasy, robiliśmy tzw. saman, czyli cegły ze słomy, gliny i wody o wymiarach 40x60 cm. Żadnego opału nie było – prócz tego, co ususzono latem, i wysuszonych odpadów gnojnych. Dostałem się do Kielerowki do pracy przy budowie szkoły, a ojciec był w kołchozie złotą rączką.

Jak Pan się dowiedział o formowaniu armii polskiej?

Pewien Rosjanin pokazał mi jeden z numerów „Izwestii” i poinformował, że gen. Sikorski zawarł porozumienie ze Stalinem i że będzie formowana polska armia. W lutym 1942 roku dostałem z wojenkomatu (biura werbunkowego armii) kartę powołania. Miałem się stawić przed komisją wojskową w Nowosibirsku. Był mróz. Zamiast butów nosiłem pocięte szmaty ze starych worków – namoczone i okręcone wokół stóp – które twardniały na mrozie. Dowiedziałem się, że jedzie pociąg w kierunku Omska. Podszedłem do parowozu. Maszynista jadł śledzia. „Czego chcesz?” – zapytał. „Jadę na komisję wojskową” – odpowiedziałem. „Nie kłam, u nas w wojsku teraz nie biorą” – powiedział.



Fot. Maciej Foks

Piotr Juralewicz, ur. 28 maja 1920 roku w Marcinkańcach na terenie dzisiejszej Litwy, ukończył szkołę techniczną w Wilnie. Deportowany w głąb ZSRR, wstąpił do Armii Polskiej gen. Władysława Andersa, służył w 8. Batalionie Strzelców 1. Dywizji Pancerniej gen. Maczka. Uczestniczył w bitwach w rejonie Caen i Falaise w 1944 roku.

Pokazałem dokument. Wziął mnie do parowozu. Głodny byłem niesamowicie. Na zesłaniu zaprzyjaźniłem się z pewnym Kazachem, który w zamian za moją odzież potajemnie zaopatrywał mnie w kumys (kobyłe mleko), ale i tak, kiedy stanąłem przed komisją poborową do armii polskiej, ważyłem tylko 40 kg i wszystkie zęby się ruszały.

Pamięta Pan moment przyłączenia do wojska?

Wchodząc na komisję lekarską, zobaczyłem polskiego lekarza w obcym mundurze z naszywką „Poland”. Prócz niego był jeszcze medyk sowiecki. Po badaniach umieszczono nas w pociągu. Dostaliśmy na drogę menażkę na wrzątek, suszoną rybę i po dwa sucharki. Wagony były zawzione. Przyjechaliśmy pod chińską granicę do stacji Ługowoje. Formowano tam 10. Dywizję. Dostaliśmy angielskie mundury – ciepłe, wełniane – oraz koce. Mieszkaliśmy w namiotach. Z chrustu

zebranego na stepie zrobiliśmy łoża, spaliliśmy w ubraniach i płaszczach. Broni jeszcze nie mieliśmy. Pewnej nocy obudzono nas. Wymarsz. Nie wiedzieliśmy, gdzie i po co. Doszliśmy do torów kolejowych. Załadowano nas w wagony. Dojechaliśmy do Krasnowodsk nad Morzem Kaspijskim. Nasz batalion załadowano na pokład okrętu, tak by jak najwięcej żołnierzy można było przetransportować – wszyscy siedzieli tuż obok siebie. Dotarliśmy do portu Pahlavi w Iranie. Niektórzy z zaokrętowanych żołnierzy byli tak osłabieni, że trzeba było ich wynosić.



Fot. ze zbiorów Piotra Juralewicza

Rozpoczął się dla Panów nowy rozdział.

Przyprowadzono nas do obozu rekonwalescencyjnego, rozebrano do naga, ogolono, umyto pod prysznicem, zdezynfekowano i wyposażono w mundury brytyjskie. Dostaliśmy lekką żywność i witaminy. Następnie załadowano nas na samochody. Przez Iran, Irak, Syrię, Jordanię i Egipt trafiliśmy do Palestyny. Owoców i słodczy w bród – czuliśmy się jak w raj. Żołnierze polscy, którzy walczyli w Tobruku, śmiali się z nas, że mogliśmy tyle zjeść. Musieliśmy się odkarmić. W końcu okrzepliśmy. Zaczęliśmy ćwiczenia. Trafiłem do batalionu saperów w 3. Dywizji Strzelców Karpackich. Przed wojną ukończyłem przysposobienie wojskowe drugiego stopnia. Z tych, którzy je mieli, tworzono kompanie eskortowe jeńców wojennych.

Zadanie z pozoru bezpieczne.

Eskortowaliśmy jeńców, płynąc dookoła Afryki z Port Saidu przez Durban i Kapsztad do Wielkiej Brytanii. Nie mogliśmy płynąć przez Morze Śródziemne ze względu na niebezpieczeństwo ataku U-Bootów. Jeńców było 4 tys., a nasza kompania liczyła tylko 112 żołnierzy. Jeńców umieszczono na dole statku, nas na górze. Usłyszeliśmy, że Niemcy opanowali kiedyś jeden ze statków i zmienili jego kurs. Wąskie wyjścia z dołu obstawiliśmy karabinami. Przyplłynęliśmy do Glasgow w Szkocji. Wylądowano jeńców, a nas przydzielono do punktów organizacyjnych wojsk gen. Maczka. Powstawała dywizja pancerna. Przeszliśmy kurs walk ulicznych, szturmowej, jazdy górskiej. Po przeszkoleniu dywizja okrzepla i wylądowaliśmy w Normandii.

Jak zapamiętał Pan inwazję?

Pamiętam załadunek z marszu na statki w Londynie i lądowanie w Normandii, w suchym porcie, na plaży. Sprowadzałem z okrętu na ląd kilka samochodów. Znaleźliśmy się przed mia-

stem Caen, które przechodziło z rąk do rąk. Anglicy nie mogli go opanować. Po nawałnicy artylerii, bombardowaniu z powietrza i ataku piechoty szturmowej rzeka zmieniła koryto.

Byliśmy głodni walki, by jak najszybciej wojna się skończyła i byśmy mogli dotrzeć do Polski. Służyłem w 1. plutonie 4. kompanii 8. batalionu, który dostał przydomki „Bramandzki” i „Krwawych Koszul”. Żadna armia nie miała takiej piechoty szturmowej jak 1. Dywizja Pancerna. Kiedy spotkaliśmy się w Olsztynie z kolegą, który też brał udział w walkach, ten powiedział do mojej żony, że byłem „wariat w wojnie”. Czy trzeba było wariować? Zwycięzał ten, kto nie miał stracha. Kto tylko przestał wierzyć, padał pierwszy. Nie liczyłem się z niczym, mimo że w Wielkiej Brytanii była żona z dzieckiem. Wygrywałem na tym.



Fot. ze zbiorów Piotra Juralewicza

► W Szkocji, 1943 rok

Walki w rejonie Falaise należały do szczególnie trudnych?

To były najgorsze boje. Tam, gdzie było najciężej, rzucono Polaków. Szliśmy za czołgami. Mieliśmy likwidować piechotę. Wtedy odbyła się czterogodzinna walka na bagnety, po której nasz batalion dostał nieformalną nazwę 8. Batalion „Krwawych Koszul”. To było straszne. Krew się lała niesamowicie. Biliśmy się z esesmanami. Przyjęli walkę, ale się przeliczyli. Po paru dniach była już inna dywizja niemiecka. Na szczęście z plutonu, którym dowodziłem, nie zginął ani jeden żołnierz. Stale dążyliśmy do walki wręcz, bo byliśmy pewni zwycięstwa. Niemcy nie dorównywali nam w szermierce. Nikt nie zdołałby policzyć trupów niemieckich, które widziałem. W walce nasz żołnierz był od Niemców bardziej zajadły; esesmani bali się nas okropnie. Mieliśmy rozkaz, by żołnierzowi bez broni nie robić krzywdy, tylko brać do niewoli. Uratowałem później życie żołnierzowi, który prowadził samotnie grupę ok. 60 jeńców. Trzymali ręce na głowach. Zauważyłem, że jednemu z nich wystaje długi nóż.

Żołnierz wywołał Niemca i zabrał go ze sobą. Co z nim zrobił, nie wiem. Zdarzało się, że wśród jeńców byli Polacy. Byli to Ślązacy, przechodzili do naszej armii.

W rejonie Falaise wybiłem całą załogę niemieckiego karabinu maszynowego. Miałem pierwsze miejsce w batalionie w odległości rzutu granatem bojowym.

Widziałem spod hełmu, jak Niemiec złapał granat, ale nie zdążył odrzucić. Zniszczyłem też czołg, a było to tak: byliśmy

► Polski Korpus Przysposobienia i Rozmieszczenia po demobilizacji; na zdjęciu: Piotr Juralewicz, Michał Leszkiewicz i Edward Wołosewicz; Anglia, czerwiec 1946 roku

okopani, spodziewaliśmy się kontrnatarcia. Przeszły przez nas trzy czołgi. Wiedziałem, że w pobliżu jest artyleria przeciwpancerna. Jeżeli choć jeden wróci, to będzie cud. I tak było. Wrócił tylko jeden. Wziąłem PIAT-a z pociskiem wyrzucanym sprężyną. Trafiłem nad gąsienicą. Czołg stanął w ogniu. Nie wiem, co się stało z załogą. Z bitwy zapamiętałem masę trupów. Droga była usłana zwłokami do tego stopnia, że buldożer musiał przejechać i jak pługiem zwałać je na bok. Naszych chowano z honorami, a Niemców to tak spychali. Niemcy byli dobrymi żołnierzami, ale mieli cholernych dowódców, którzy potrafili strzelać do własnych żołnierzy.

Mieliście u Niemców specyficzny przydomek...

Którego dnia ulokowaliśmy się we czterech pod drzewem. O świcie słyszemy strzały. Na drzewie był niemiecki snajper. Dużo nie mógł zrobić ze względu na odległość. Oparłem łokieć o drzewo. Puściłem do góry serię. Niemiec poruszył się. Puściłem kolejną. Niemiec zrzucił granat. Odskokczyliśmy na bok. Granat wybuchł przy samym pniu. Nic nam się nie stało. Ściągnęliśmy strzelca. Przy sobie miał list do Niemiec, napisał, że już od jakiegoś czasu walczy z „polskimi czarnymi diabłami”. Tak nas nazywali żołnierze niemieccy po naramiennikach. W końcu dywizja spotkała się z oddziałami amerykańskimi. Było nam źzej.

Jak by Pan scharakteryzował gen. Maczka?

Żołnierze mówili o nim: rzeźnik – za bardzo szafował żołnierzami. Pozycja musiała zostać zdobyta – i była zdobywana. Nie pamiętam momentu, żeby zadanie nie zostało wykonane. Dobrym i odważnym człowiekiem był ppłk Aleksander Nowaczyński, dowódca batalionu. Potrafił być w pierwszej linii, mobilizował nas i pocieszał. Po mojej rekonwalescencji przysłał żołnierza do szpitala, by zapytać, jak się miewam.

Był Pan ranny?

Pod Falaise, w rękę. Przerzucono mnie do szpitala w okolicach Birmingham. Chcieli mi uciąć dłoń, ale nie wyraziłem zgody. „Jeżeli trzeba będzie uciąć rękę po łokieć, nie będziemy pytać pana o zgodę” – powiedział lekarz. Antoni Jurasz, wybitny chirurg, Polak, który pracował w Edynburgu w polskim szpitalu, powiedział, że dobrze zrobiłem, że nie zgodziłem się na amputację, będę miał rękę. Zakwalifikowano mnie jako inwalidę wojennego. Chciałem szybko wyjść

ze szpitala. Opiekowali się mną starsi ludzie, których córka zabierała mnie do teatru czy popatrzeć na lodowisko. Opieka była wspaniała. Przewieźli nas do miasta Torquay nad kanałem La Manche. Chciałem wrócić do żony w Szkocji. Udało mi się. Zgłosiłem się na ochotnika do obozu repatriacyjnego na powrót do Polski.

Jak Pan zapamiętał powrót do kraju?

Nie wróciłbym, bo z żołnierzy 2. Korpusu i 1. Dywizji Panцерnej utworzono jednostki robocze. Otrzymałem samochód z szoferem do dyspozycji. Jeździłem z budowy na budowę, tłumacząc Polakom, co mają robić. Żona dostała z Łomży list od matki, że wróciła z siostrą żony z Syberii. Mój teść, policjant Franciszek Krzemiński, zginął w Katyniu. Żona chciała wrócić do Polski. Odradzałem jej, mówiąc, że tacy jak my nie są tam pożądanymi. Wróciliśmy. Przyjechaliśmy do Sopotu, gdzie czekaliśmy na rodzinę żony – wujka oraz matkę i siostrę, które powróciły ze zsyłki na Sybir. Z Sopotu przywieziono nas do Elbląga. Dano mi zaświadczenie z urzędu repatriacyjnego ze stemplem, że otrzymałem pewną sumę. Niczego

nie dostałem. Oni te pieniądze zabierali. Nie mogłem dostać pracy. Zacząłem sprzedawać koce, by mieć za co żyć. Napisałem rozpaczliwy list do brata w Anglii. Przed moim powrotem umówiliśmy się, że dam mu znać, czy może śmiało wrócić do Polski. Miałem napisać po litewsku. *Sėdėk ten* po litewsku oznacza „siedź tam”, ale mogło zostać uznane przez postronnego czytelnika za imię i nazwisko. Brat przysłał mi adres koleżanki Jurgielowej pracującej w „Społem” w Biskupcu, z którą nawiązałem kontakt. Przyjechałem do niej. Powiedziałem, że chciałbym uciec z Elbląga. Zamieszkałem u niej. Do pracy przyjął mnie warszawiak, kierownik „Społem”. Przeszedł w końcu rozkaz, żeby tych z Zachodu przyjąć do kombatanów. Przyjęli mnie, mimo to byłem prześladowany przez Urząd Bezpieczeństwa. Na moich oczach na ul. Długiej w Elblągu ubek zastrzelił Polaka w mundurze armii polskiej na Zachodzie. Kierownik Rudnicki, patriota, bronił mnie przed UB, powiedział mi, że musi się tłumaczyć ze znajomości ze mną, namawiał mnie, bym się zapisał do PPS. Zapisałem się. Później partia ta połączyła się z PPR, tworząc PZPR. Po pewnym czasie wyrzucili mnie z PZPR jako andersowca. Mówiłem im, że się mylą, że w 2. Korpusie byłem krótko, zostałem oddelegowany do dywizji gen. Maczka. Pepeesowcy mnie bronili, ale się nie udało. Mimo to przetrwałem PRL. ■



► Piotr Juralewicz z żoną Janiną i jej siostrą Wiesławą; Elbląg, grudzień 1947 roku

Fot. ze zbiorów Piotra Juralewicza